

Podwiń rękawy i daj więcej, niż oczekujesz

18 grudnia 2019

– Co roku od początku grudnia przypominam ten magiczny czas z dzieciństwa i też pamiętam inne czasy – jak nie było mnie w domu na święta, a siedziałam w pokoiku w Ladakh w Himalajach i jadłam puszkę sardynek w Wigilię. W tym roku już zaczęłam swoje polowanie na polskie przepisy i składniki – mówi Jolanta Piesakowska-Jackson.



– Jest pani Polką urodzoną i wychowaną na Wyspach Brytyjskich. Jak wspomina pani kwestię swojego wychowania w duchu polskości?

– Pochodzę z bardzo patriotycznej rodziny, dumni ze swego udziału w walce odzyskania niepodległości w 1918 roku, w wojsku Andersa i w podziemnym ruchu oporu podczas drugiej wojny światowej. Żyliśmy tu w Londynie jako polska rodzina na obczyźnie w tęsknocie za utraconą Polską. Moja siostra, starsza ode mnie, nie rozmawiała po angielsku aż poszła do szkoły. Kiedy się urodziłam, nasza babcia i dziadek mieszkali z nami i wszyscy rozmawiali po polsku w domu, a my dzieci między sobą po angielsku. Kiedy skończyłam 7 lat zapisano nas

do polskiej szkoły – internat w wiosce koło Northampton, Pitsford. Szkoła była prowadzona przez siostry nazaretanki. Nagle prawie codzienne lekcje języka polskiego, polskiej geografii, polskiej historii i lekcje religii po polsku. Płakałam. Był to dla mnie szok – tylko siódemki i dziewiątki (najlepszy wynik jedynka) w polskich zadaniach domowych. To były ciężkie czasy! Ale od początku dzięki pani Kulczyckiej brałam udział w polskich przedstawieniach. Pierwszy występ: wierszyk o koszyku owoców, a ja byłam pomidorem. Pomału nauczyłam się nie tylko mówić, ale też pisać ładnie po polsku. Kiedy skończyłam 15 lat, z Polski przyjechała nowa, młoda nauczycielka, raptem mówiłam i pisałam bezbłędnie, o wiele lepiej niż teraz! I do tego czasu nigdy nie byłam w Polsce! W Pitsford śpiewałam w chórze po polsku, wykonywałam wszystkie polskie tańce folklorystyczne w szkolnym zespole, nawet wstąpiłam do harcerstwa w szkole – pani Bogna Stenzel nauczyła nas jak spakować plecak i co śpiewać przy ognisku. Miałam 18 lat, kiedy skończyłam naukę w Pitsford. Spędziłam jedenaście lat poza społecznością polską na Ealingu, gdzie był mój dom rodzinny. Nie miałam kontaktów z rówieśnikami. Moje koleżanki były rozrzucone po Anglii, Francji, Niemczech. To był rok 1980, czekał na mnie Londyn, artystyczna szkoła i angielska kultura, która mnie fascynowała.

– Naturalnie była to wówczas diametralnie inna Polonia od współczesnej. Jak wyglądało wówczas funkcjonowanie polskiej społeczności w UK?

– Wszyscy się znali, rodzice z obozów, dzieci ze szkoły i z klubów polskich, polskich zabaw, z polskiego kościoła, polskiego harcerstwa. Społeczność politycznie zapatrzona w przedwojenną Polskę, z jej strukturą i wartościami intelektualnymi oraz kulturalnymi. Anglicy nas nie zauważali: na przykład w Town Hall nie było tłumacza i dzieci musiały tłumaczyć i pomagać rodzicom w oficjalnych sprawach. Było dużo smutku i problemy związane z traumą przeżyć wojennych. Ale co było zabawne, to nasza polszczyzna, jechaliśmy „busem” na

Ealingu robić zakupy u „Sainsburego”. W czasie wakacji, w Boże Narodzenie i w Wielkanoc pomagałyśmy z siostrą ojcu na zebraniach AK-owców na Ealingu. Uwielbiałam piec torty na zebrania i pomagać, bo mogłyśmy słuchać opowiadań AK-owców lub Cichociemnych. Dla mnie to pokolenie to byli bohaterowie, mężczyźni i kobiety. Niestety, poza naszą społecznością nikt tego nie doceniał, nikt nas nie rozumiał, nie miał dla nas szacunku, nie zauważał nas, ale my czuliśmy się inni. Dlatego były to dla mnie czasy pełne smutku, cierpienia i żalu.

– Czy można zatem w ogóle porównać ówczesną Polonię z tą obecną?

– „Skąd jesteś? – z Białegostoku”, „a ja z Tarnowa, jak długo tu jesteś?”, „tylko co przyjechałam!”. Zerkam w lustro, ukradkiem nakładam szminkę, patrzę jak te dwie młode dziewczyny, podniecone, klekotają razem, będąc dopiero „chwilę” w Londynie, szukając swobody, przygody i niezależności. Zaczynały nowy etap w życiu i już za minutkę zawiązały znajomość. Cieszę się: Tu słyszę polskie głosy, nowy styl mówienia i rozmowę pełną optymizmu. Zdarzyło się to w Klubie Białego Orła w Balham. Dwudziesty pierwszy wiek. 30 lat przedtem w latach 70. przyjechałam, jako młoda pitzsfordzianka do tego klubu w autobusie z Midlands. Przyjechałam razem ze szkolnym chórem, żeby zaśpiewać koncert polskich pieśni. W sali teatralnej śpiewałyśmy dla rodzin z Balham piosenki pełne nostalgii za ojczyzną, o bohaterstwie naszych rodziców – polskich żołnierzy. „Jak długo w sercach naszych...”.

– Pamięta pani Boże Narodzenia z okresu dziecięcego?

– Wigilia w domu zawsze zaczynała się od początku grudnia – polowanie w sklepach na Actonie i na Ealingu na polskie składniki: kapusta saurkraut (z kminkiem – kto pamięta!) z Czech w Tesco, zamówienia na śledzie z beczki, koperku nigdy nie było, a karpia... 24. od rana kuchnia w domu już działała pełną parą, muzyka tylko z garnków, bo radia nie włączono. Tata martwił się o zimne nogi z karpia, a mama lepiła uszka.

Tyle jedzenia, a u nas żołądki brzęczały, bo cały dzień był post. Choinka przebrana jak na bal, kupiona na East Actonie już parę dni temu, a co rok słyszałyśmy jak w Polsce w Wigilię tato szedł z dziadkiem do lasu: tam ścinali choinkę i ciągnęli na sankach przez śnieg do domu. U nas na kolację wigilijną biały obrus, świąteczne sztucze z Polski, elegancki serwis obiadowy, świeczki na stole. Wszyscy przebrani, tato i dziadek w garniturze, mama w sukience i pantoflach, a ja z siostrą ubrane po krakowsku. Mama gasiła światła istawiano płytę kolęd Mazowsza – „Bóg się rodzi...” i dzieliliśmy się opłatkiem. Po kolacji wigilijnej zapalano świeczki na choinkę... i prezenty! Jak byłyśmy małe – po prezentach do łóżka i do kościoła rano. A jak starsze – jechaliśmy na Pasterkę u Benedyktynów. Bardzo lubię Pasterkę, ale jak byłam mała to wolałam iść spać po Wigilii: cały dzień czułam, że u nas w tej kuchennej parze, w tym pokoju ze świątecznym stołem, za tymi ciężkimi zasłonami z aksamitu, u nas w domu była magiczna Polska.

– Rozumiem więc, że obecnie także kultywuje pani tradycje zaczerpnięte z tamtych doświadczeń?

– Co roku od początku grudnia przypominam sobie ten magiczny czas z dzieciństwa i też pamiętam inne czasy – jak nie było mnie w domu na święta, a siedziałam w pokoiku w Ladakh w Himalajach i jadłam puszkę sardynek w Wigilię. W tym roku już zaczęłam swoje polowanie na polskie przepisy i składniki.

– Jak obecnie wyglądają pani święta?

– Z dziesięć lat temu nasza mama przeprowadziła się z Ealingu do Balham, mieszka bardzo blisko mojego i mojej siostry domu. Przed Wigilią we trzy rozdzielamy, kto co kupuje i co gotuje. Na dzień wigilijny od rana jest zjazd u mojej mamy naszych dzieci, mój syn – już po „30” – ma swój dom, a siostrzenica i siostrzeniec studiują na uniwersytecie. Nie mam pojęcia co oni tam robią u babci, bo to jest ich czas razem. Wiem, że piją dużo herbaty, dużo rozmawiają. Po południu, oni już przebrani

„na lepsze”, stół przygotowany z opłatkiem, sianem i angielskimi crackersami dzwonią do nas po „extra” krzesła. Ja od rana gotuję, a mąż dekoruje nasz dom ostrokrzewem i jemiołą, u nas jest polsko-angielski dom. Przygotowuję ryby, sałatkę jarzynową, śledzie, wszystko co u mnie zamówiła mama. Raptem jest 17.00 i przebrani jedziemy do mamy z całym samochodem potraw i krzeseł. Tam spotykamy się z moją siostrą, ze szwagrem. Wszystko gotowe, kolacja wigilijna zaczyna się, z CD płynie „stare” Mazowsze, czekamy na nagrany szum z tej starej płyty i... „Bóg się rodzi...”. Dzielimy się z opłatkiem po polsku i po angielsku. Po kolacji jedziemy do Balham na Pasterkę. Następnego dnia budzę się rano, dom spokojny, nastawiam z CD angielską świąteczną muzykę chóralną, indyk do piekarnika i się zaczyna nasz angielski Christmas Dinner.

– Odchodząc nieco od tego wątku... Jest pani m.in. powszechnie znaną działaczką społeczną. Skąd w pani chęć pomocy innym? Dlaczego pani tym się zajmuje?

– Mój ojciec często opowiadał nam jak był na Marszu Śmierci. W 1945 Hitlerowcy „opróżniali” obóz koncentracyjny Gross Rosen, gdzie mój ojciec, dziadek i dziadka brat byli więźniami politycznymi, tzw. kacetowcami. Szli zagłodzeni, chorzy, popychali wagony, pili wodę z kałuż i dawano im jeden kawałek chleba na dzień. Ludzie umierali z głodu i zostawiano ich tam, gdzie padali. Pomału, dzień w dzień, oficerowie SS zrzucali mundury i znikali, bo wiedzieli, że wojna się kończy. W końcu zostały tylko puste wagony i zagłodzeni kacetowcy na niemieckich polach i w lasach. Dziadek, mój ojciec i jego dziadka brat przeżyli we trzech, szukali ratunku. Tak znaleźli dom wiejski, szli wygłodzeni, ubrani tylko w pasiaki i drewniaki. Młoda Niemka wyszła do nich i dała im kubek świeżego mleka. Dała im to, co miała. Moja mama przeszła Syberię, kiedy miała 9 lat. Nic nie miała, ale w Isfahanie, w Persji i w Indiach w Valivade ludzie pomagali Polakom, dawali od siebie to, co mogli. Ja dużo przeżyłam i widziałam jak Polak Polakowi dał rękę, Koło AK-owskie dużo pomogło nam i w

roku 1986 mój ojciec dostał złoty medal za zasługi i udział w polskiej społeczności. Moim zdaniem Polak ma obowiązek pomóc Polakowi.

– Jednym z pani działań jest współorganizowania corocznego Balu Polskiego. Jak wyglądają przygotowania do najbliższej edycji?

– Bal Polski to piękna tradycja. Okazja, żeby Polacy z każdej fali imigracji mogli celebrować polskość, szacunek dla tradycji polonijnych i Polski, hojność i piękną zabawę. Po 7 latach przy organizacji Balu Polskiego – 3 lata jako przewodnicząca komitetu organizacyjnego, odstąpiłam w tym roku. Ale będę bawiła się jako gość na 48. Balu Polskim, 1 lutego w Hiltonie na Park Lane. Jestem podekscytowana, że bal wraca do Hiltonu, mam dużo pięknych wspomnień stamtąd, koleżanki i kolegów z przeszłych komitetów: Ewa Butryn, Ania Lichtarowicz Piesakowska, Anka Badowska, Marlena Anderson, Wiesia Hanke i Robert Wiśniowski, a pomiędzy nimi Basia Korzeniowska. Pod opieką przewodniczącej 48. Komitetu, Marzeny Konarzewskiej wiem, że 48. Bal będzie na wysokim poziomie, z piękną zabawą i godnymi celami charytatywnymi. Bilety już są na sprzedaż! Kontakt z komitetem i Ewą Cross na info@balpolski.org.uk.

– Nad jakimi projektami pracuje pani obecnie?

– Działam przy organizacji uroczystości 80-lecia Ogniska w 2020 roku. Już niedługo będę pracowała nad następnym etapem #MyLondyn. Razem z Anią Mochlinską i Juliette Bretan chcemy uwiecznić i upowszechnić historię ludzi z fali imigracji od 1945 do 1970 roku. Przedwojenne polskie gwiazdy filmu, piosenki, intelektualiści, twórcy, politycy, bohaterowie wojenni zgromadzili się tu, w Londynie, w Wielkiej Brytanii.

– Czym zajmuje się pani na co dzień?

– Ponad 30 lat pracuję w mediach, tu w Londynie. Pierwsza praca w BBC News and Current Affairs – 13 lat jako TV graphic

designer and art director, potem w GMTV jako Head of Graphics, w Molinare post production 12 lat Head of Graphics and VFX. Pracowałam jako producent, dyrektor, visual effect supervisor w programach telewizyjnych, sponsorship idents, reklamy i filmy np. „King’s Speech”. Przez 3 lata pracowałam w Premier PR, gdzie zdobyłam doświadczenie w social media i kampaniach mediowych . Od 3 lat prowadzę swoją firmę Salt and Pepper Productions, kręcę reklamy, corporate films, bloguję, nagrywam podcasty, jestem senior trainer Thomson Foundation, wykładam „Data Visualisation” w Wielkiej Brytanii i za granicą. I projektuję i wspieram „multi platform project” @Pastpostcard mojego męża.

– Jakie są pani plany na przyszłość?

– Najbliższy projekt to jest podcast „Rooms”. Blogowałam „Buildmumahouse”, gdzie opisywałam projekt budowania domu dla mojej mamy i przez artykuły blogowe szukałam projektów wnętrz, które są piękne, ale też przydatne dla mieszkańców, którzy potrzebują trochę „pomocy”. Podcast „Rooms” są to rozmowy z gośćmi, którzy mają specyficzne potrzeby w domu i szukają lub znaleźli dobre rozwiązanie – dom dla nich jest wsparciem. Na przykład z gościem, który stracił sprawność po wypadku samochodowym, przerobił sobie dom i żyje niezależnie. Jestem bardzo ciekawa ludzi i pokonywania przez nich przeciwności losu.

– Gdzie można szukać kontaktu z panią, jak ew. można wesprzeć pani działalność lub też gdzie można śledzić pani projekty?

– Jestem aktywna na platformach mediowych. Prowadzę #MyLondyn Twitter feed: @Londyn_my, gdzie promuję polskie wydarzenia w Londynie – kulturalne, historyczne, charytatywne, ciekawe fakty. Na „Instagramie” z mojej firmy Salt and Pepper Productions @jola_saltandpepper – robię zdjęcia solniczek i pieprzniczek wszędzie, gdzie to możliwe i zachęcam znajomych, by też robili zdjęcia i przesyłali do mnie! Wyobraźmy sobie, co solniczka na stole w Café Maya mogłaby opowiedzieć. Lubię

wyszukiwać zdjęcia do mojego instagramowego konta „Beautiful, thoughtful things that make me want to go ooh!” @buildmumahouse, gdzie będę promować mój nowy podcast, ROOMS. I na „Facebooku” jestem jako Jola Piesakowska Jackson.

Z Jolantą Piesakowską-Jackson rozmawiał: Dariusz A. Zeller

Zdjęcie: Jolanta Piesakowska-Jackson

Źródło: Cooltura24.co.uk